

Najbardziej uniwersalnym zadaniem jest przewijanie dziecka. Czynność ta stanowi jednak poważne wyzwanie dla niewidomego. Na pewno myślicie, że możecie to sobie wyobrazić, ale nie możecie. To bardziej złożone i nieprzyjemne. Nie chodzi tylko o ubrudzenie palców. Musielibyście zobaczyć schrzanione origami, które w moim wykonaniu uchodzi za pakowanie prezentów. Ostatni prezent urodzinowy dla Tracy, jeszcze przed urodzeniem Tess, zaskoczył ją dodatkowo – moja żona przekonała się, co potrafię zrobić ze zwykłym pudełkiem. Problemy przy pakowaniu zaczynają się, kiedy daję sobie spokój z równym zawijaniem krawędzi. Zbieram za to papier pakunkowy, tworząc coś na kształt torby, zwijam górną część w niby-kołnierz i oklejam całość taśmą. Równie dobrze mógłbym wsadzić nowy sweter Tracy do piłki. Mówcie, co chcecie, prezent był dobrze ukryty. Tracy uśmiechnęła się z wdzięcznością, wyciągając podarunek z kokonu, ale wiedziała już, że następnę będzie nasze dziecko.

Pierwszą osobą, która zrozumiała moje specyficzne problemy, był szef Tracy. Sam niedawno został ojcem i mówił mi ostatnio przez telefon, że spróbował kiedyś przewinąć syna po ciemku, żeby sprawdzić, z czym ja się muszę borykać. Poddał się po rozpięciu pieluchy, czyli właściwie zanim jeszcze zaczął.

Nie jest to niemożliwe. Kilka razy przewinąłem Tess pod czyjś nadzorem, ale nigdy nie było to łatwe, w pełni udane czy zachęcające do kolejnych prób. Nowa pielucha ładowała tyłem do przodu, zbyt wysoko, zbyt nisko, była źle zapięta, wisiała za luźno, tworząc dwa osobne lejki, a nie hermetycznie szczelne opakowanie. Tess wierzgała i płakała. Irytowała ją moja powolność i brak delikatności. Ja byłem równie sfrustrowany. A chodziło tylko o zasikane pieluchy. Nie byliśmy gotowi na konfrontację moich umiejętności z groźniejszymi materiałami.

Problem częściowo bierze się z tego, że używam palców, żeby „widzieć”, co robię. Oczy pozwalają przyswoić jednorazowo sporo informacji. Ręce nie. Palcami próbuję ustalić położenie albo kierunek i wszystko, co się dzieje po drodze. Innymi słowy, palcami próbuję patrzeć. Ale przez to brakuje mi palców, żeby dokonać samej zmiany pieluchy. Co gorsza, muszę często dotykać, żeby z obsesyjno-kompulsywną dokładnością sprawdzić, czy mała nie poruszyła nogami albo nie ułożyła się pod innym kątem, kiedy moje ręce zajmowały się rozkładaniem pieluchy, szukaniem przodu, tyłu, środka i części zewnętrznej. Oczywiście osoby widzące patrzą po prostu na dziecko, robiąc przy tym różne miny, podczas gdy ich dłonie zajmują się przygotowaniami. Jeśli jednak ja cofnę ręce, dziecko znika. Już jej nie widzę. Muszę znowu dotknąć, żeby ją ponownie zobaczyć i żeby wiedzieć, co robię. Albo czego nie robię. Cholernie trudna sztuczka. Wiecie co? Przeczytajcie jeszcze raz ten akapit. Mam nadzieję, że głowa rozboli was tak samo jak mnie po tej krótkiej, nieskomplikowanej serii czynności. Chcę powiedzieć, że to JEST skomplikowane. Takie złożone i frustrujące ruchy lepiej pasują do chińskich akrobatów.

Jak już mówiłem, kilka razy mi się to udało, ale pierwsza kupa w pieluszcze zakończyła moje próby. Podniosłem nawilżaną chusteczkę, spojrzałem martwo na pupę Tess i zapytałem Tracy: „Dobra, gdzie mam to dać?”. Nie zdążyłem nawet zadać kolejnego pytania: „A jak mam tym ruszać?”.

Tracy nigdy nie miała mi za złe, że z trzema czy czterema wyjątkami zmieniała wszystkie pieluchy. Tess pewnie też nie. Panowało zatem milczące porozumienie, że przydam się do innych rzeczy. Pytanie tylko, do jakich. Jasne, mogłem spróbować wykąpać Tess, ubrać ją albo wykonać inne codzienne czynności, ale zgodziliśmy się, że Tess nie powinna cierpieć z powodu brudu, wysypki albo kompromitacji w kwestii mody tylko po to, żebym mógł się wykazać samodzielnością. Zwłaszcza jeśli świadkiem tego miała być Tracy.

Zauważyliśmy z pewnym niepokojem, że nasz postępowy związek oparty na równouprawnieniu zaczął się przekształcać. A właściwie cofać. Przez wiele lat czerpałem przyjemność z częstego gotowania. Jasne, robiłem to boleśnie wolno, ale pierwszym przewodnikiem w świecie smaku powinien być zmysł węchu. To mi pasowało. Zatem oliwa ruszała do akcji, a kuchnia była moja, podczas gdy Tracy dokupowała narzędzia, kiedy trzeba, jechała samochodem po farbę i pędzle albo środek do przetykania rur, żeby po mnie

posprzątać. Innymi słowy, moja ślepotą pomogła nam się rozprawić ze stereotypami dotyczącymi podziału domowych obowiązków.

Wraz z pojawieniem się Tess nastąpiła wielka zmiana. Błyskawicznie wróciliśmy do modelu rodziny rodem z lat pięćdziesiątych. Tracy robiła to, co robią mamy, opiekowała się dzieckiem i uwijała się przy nim, a ja codziennie rano pisałem w piwnicy, żeby przynieść do domu trochę gotówki. Tracy gotowała zupki dla Tess, ja odpuściłem sobie kuchnię. Nie mogłem dostosować tempa do nawału nowych obowiązków. No i jeszcze te pieluchy oraz zagrożenie, że za ich pomocą będę musiał udowodnić swoją niezależność. Skupiłem się więc na zapewnianiu finansowego bezpieczeństwa. Fuj.

Jak na ironię, takie odwrócenie ról okazało się naszym nowym sposobem na stworzenie postępowej rodziny. Może i zachowywałem się jak staroświecki ojciec, ale byłem przecież ojcem niewidomym, dobrze zarabiającym niewidomym, co rzadko się zdarza. To najlepiej pasowało do nas i naszych ograniczeń. Rodzina na pierwszym miejscu. Niemniej jednak większość obowiązków spoczywała na barkach Tracy, więc jej rola znacznie wzrosła, podczas gdy moja zmalała. Szczególnie w następnym roku, kiedy Tracy wróciła do pracy, pełniąc dalej obowiązki mamy w ograniczonym wolnym czasie. Jak kobiety to robią? Ja nie umiem nawet zagotować wody, obierając jednocześnie ziemniaki.

Nie tylko ja się martwiłem, jak mogę jej pomóc i być ojcem na tym etapie. Liczyły się też obawy Tracy. Bycie matką, młodą matką, i borykanie się z niepewnością i wątpliwościami wynikającymi z tak ogromnej odpowiedzialności to jedno. Natomiast przekazanie bezbronnego dziecka w ręce ślepego faceta to coś zupełnie innego. Kto pozwoliłby takiemu facetowi na eksperymenty w nowej roli? Jaka matka zdobyłaby się na to, nawet gdyby ten facet był jej mężem? Jest to sprzeczne z wieloma instynktami. Tracy mocowała się wewnątrznie z zagrożeniami i obawami, a ja byłem coraz bardziej sfrustrowany, nie mogąc znaleźć dla siebie żadnego zajęcia, w którym czułbym się pewnie. Tess i ja nigdy nie zostawaliśmy sami. Więcej czasu udało mi się spędzić ukradkiem w towarzystwie różowej wiertarki.

I dlatego pewnego dnia postanowiłem wszcząć cichą rewolucję. Stałem w pokoju telewizyjnym, wsłuchując się w zabawę Tracy i Tess. Kolejna wieża z klocków gruchnęła o podłogę. Ulubiona rozrywka Tess. Mogłem jej pomóc w budowaniu, ale kiepsko mi szło znajdowanie rozrzuconych klocków. Jednorazowe zniszczenie nie wystarczało do dobrej zabawy.

– Chciałbym wziąć Tess na spacer – ogłosiłem, unosząc w rękach uprzęż nosidełka.

Tracy zamarła. Jej milczenie aż pulsowało od niepokoju.

– O – powiedziała. – No... dobrze.

– Mam tu nosidełko. Może włoż jej sweterek czy coś.

– Eee... jesteś pewny?

Zająłem się już przypinaniem nosidełka.

– Jasne. Poradzimy sobie.

– To ja z wami pójdę – stwierdziła Tracy bardzo pogodnym tonem. Tonem perswazji.

– Wiesz co, jeśli nie masz nic przeciwko temu, to wolałbym iść sam. A ty możesz zrobić coś fajnego, jak nas nie będzie.

– Co na przykład? Lubię bawić się z Tess.

– Nie wiem. Poćwicz jogę. Napij się kawy. Albo... czy ja wiem... poćwicz jogę.

Nie mogłem sobie nawet przypomnieć, jak spędzaliśmy kiedyś czas.

– O, już wiem! – ucieszyłem się. – A może Facebook? Możesz zmienić swój status i w ogóle. Cokolwiek się tam robi. Napisz do innych czy coś.

– E, nie – opierała się Tracy. – Po prostu pójdę z wami na spacer.

Nie wiedziałem, jak w najłagodniejszy sposób powiedzieć jej: „Ale ja nie chcę, żebyś z nami szła. Chcę sam narazić nasze dziecko na niebezpieczeństwo”. Uznałem, że najlepiej zmienić argumenty.

– Słuchaj, chodzi mi o to, że nigdy nie masz czasu dla siebie. A chciałbym, żebyś miała. To wszystko.

Tracy nie trzeba było tego przypominać. Od wielu miesięcy najwyżej pod prysznic chodziła bez Tess na rękach albo w zasięgu wzroku. Dodajcie do tego poczucie klaustrofobii, jakie stwarza związek z niewidomym. Zawsze trzymam ją za łokieć. Chodzenie zmieniło Tracy w ruchomą wersję choinki. Na jej kończynach dyndały radośnie bombki: dziecko, torebka, torba z pieluchami i mąż.

Przez chwilę Tracy układała klocki dla Tess i jej niszczycielskiej ręki. Przetrawiała obawy.

– Jesteś pewien, że sobie...

– Tak, tak – powiedziałem.

– A jeśli...

Nie potrafiła nawet dokończyć tego zdania. Albo nie umiała wybrać jednej możliwości z szerokiego asortymentu katastrof.

– Spokojnie. Nic nam nie będzie – zapewniłem, rozdrażniony jej niepokojem. – To tylko krótki spacer. Znam tę okolicę. Przecież wiesz.

Mocowałem się z zapęciem nosidelka. Reakcja Tracy zachwiała moją pewnością siebie. Moja żona milczała przez chwilę, a potem się poddała. Kiedyś musiało to nastąpić.

– Założyłeś to do góry nogami – powiedziała i poszła ubrać dziecko, być może po raz ostatni.

Kilka minut później wyszedłem z Tess na ulicę. Nigdy wcześniej nie czułem takiego lęku jako niewidomy przechodzień. Tess była przypięta do mojego brzucha. Jej ciężar, jej obecność przy moim tułowi wzbudziły we mnie nowe uczucia. Przypomniałem sobie, ile razy wszedłem na przeróżne niezauważone przeszkody. Słupy, rowery, parkomaty, ogrodzenia, zaparkowane samochody i tysiące innych rzeczy. O Boże. Wystawiłem nawet na próbę ulicznych mimów, którzy stoją bez ruchu i ożywają dopiero na dźwięk monety wrzucanej do kapelusza. Jeden taki gość widział mnie z daleka, ale tkwił w miejscu, pewny, że go ominę, dopóki nie było za późno.

Nigdy nie zwracałem sobie głowy takimi zagrożeniami, bo ryzyko związane z obijaniem się po świecie dotyczyło tylko mojego ciała. Teraz miałem mały, żywy zderzak, który mógł nie przeżyć moich pomyłek.

Szedłem ostrożnie, z namysłem, jakbym niósł worek spoconego dynamitu. Machałem laską starannie jak saper. Po dwudziestu minutach dotarliśmy do rogu naszej ulicy. Chyba się domyślacie, że nie była to frajda. Ani łatwizna. Pierwsza osoba, która nas minęła, ujęła to krótko.

– Jezu, to musi być trudne – powiedziała, przechodząc.

Może mówiła do mnie, a może do kogoś, z kim szła. Albo do swojego kumpla Jezusa, na co wskazywałby wołacz. Obcy ludzie modlili się już o nasze bezpieczeństwo. W ciągu kolejnych dwudziestu minut, czyli do następnej przecznicy, przynajmniej pół tuzina przechodniów odmówiło podobne modlitwy, zaproponowało pomoc, chciało odprowadzić nas do domu albo zapytało, czy zgubiliśmy mamusię.

To nic wielkiego, ale dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jak wyglądamy. Ponieważ nie widzę innych ludzi, jak przechodzą obok, drapią się po kroczu w miejscu publicznym albo robią to, czego świadkami są widzący przechodnie, zapominam, że sam jestem widoczny. Nasz wizerunek odbiegał od marzeń młodego ojca. Tess była wstrząsająco słodka, miała na sobie czadowe, jasnozielone okulary przeciwsłoneczne i buciki w kwiatki, śliniła się z otwartych w szerokim uśmiechu ust i dysponowała całą tą tajemną mocą dzieci, która sprawia, że najbardziej mrukowaci obcy ludzie pieją i ćwierkają na ich widok. A mimo to do tej pory wszyscy widzieli tylko, że jest w niebezpieczeństwie z mojego powodu. Zrobiło mi się smutno. To pewnie tak, jakby człowiek chciał się popisać maleńką córeczką, a inni dostrzegali tylko, że dziecko nie ma rączek. Żaden kostium marynarza nie będzie wystarczająco cudny, żeby odwrócić od tego uwagę.

W mojej głowie powstała krótka scenka. Sześciolatnia Tess pyta, czy jej koleżanka może zostać u nas na noc. Niestety Tracy wyjechała właśnie z miasta, więc kiedy tato koleżanki puka do naszych drzwi, żeby zostawić u nas dziecko, otwiera mu ślepy facet. Jako ojciec koleżanki miałbym w tej sytuacji opory.

Powoli skręciliśmy w Grant Street i opuściliśmy dzielnicę mieszkalną. Moja córka i ja mieliśmy się zaraz zapuścić w zatłoczone okolice Commercial Drive. Większa liczba ludzi oznaczała większą ilość odgłosów, którymi mogłem się kierować. To dobrze. Poza tym w oddali słychać było ruch uliczny, więc coś

przynajmniej prowadziło mnie we właściwą stronę. Tłum ma też jednak swoje wady. Śpieszący się ludzie zwracają mniejszą uwagę na otoczenie. Regularnie ocierają się o mnie ramionami, a wtedy czasami tracę równowagę i się przewracam. Tutaj mogli nawet wpaść prosto na nas albo oparzyć Tess gorącym kawałkiem taniej pizzy. Są też psy. W tej okolicy przeważnie pitbulle. Często przypięte do stojaków na rowery albo drzemiące pod drzwiami, jak w swoim naturalnym środowisku, czyli u bram Hadesu. Zbyt często trafiałem łaską w psa siedzącego w najmniej oczekiwanym miejscu. Zbyt wiele razy wielkie, zębate cienie warczały i szczekały u moich stóp. Tess mogła się stać ich zabawką.

Machałem przed nami wolną ręką, usztywniłem ramię i parłem naprzód, jak futbolista przebijający się z piłką przez linię obrony, tylko bardzo, bardzo wolno.

Po dziesięciu krokach ktoś zawadził mnie ramieniem. Odbiłem się i znów ktoś mnie zawadził. Tym razem straciłem kurs i wpadłem na kosz na śmieci. Kiedy się obróciłem, próbując odzyskać orientację, nogi Tess zahaczyły o betonową obudowę kosza. Mała zaczęła marudzić. Jej lęk był w pełni uprawniony i świadczył o zdolności przewidywania. Na obronę miałem tylko łaskę, więc waliłem nią mocno i głośno. Nie działała przez to lepiej, ale uznałem, że hałas pomoże nam przejść albo przynajmniej obudzi zaspanych ludzi. Metoda faktycznie zdawała egzamin. Doszedłem bezwypadkowo aż do następnej przecznicy. O ile mi wiadomo, przegapiłem tylko jedno: Tess zrzuciła sobie z nosa okulary przeciwsłoneczne. Dogoniła nas jakaś kobieta. Znalazła okulary w skrzynce z pomidorami przed warzywniakiem Norma.

- Proszę - powiedziała. - Nie zauważył pan, że dziecko zgubiło okulary.
- Dzięki. Naprawdę nie widziałem.
- Jasne. Musi pan bardziej uważać.
- Słusznie. Ma pani rację.

Może kobieta się martwiła, że nie przyszło mi to do głowy. Tak czy inaczej, mówienie niewidomemu, żeby uważał, jest jak przypominanie mu, żeby patrzył przed siebie. Zwykle się zastanawiamy, jak to zrobić, a nie, czy w ogóle warto.

Podziękowałem jej raz jeszcze i spróbowałem włożyć Tess okulary. Jej usta i dłonie były wilgotne. Lepkie.

- Popluła się - wyjaśniła kobieta.

Przesunąłem dłońmi po nosidelku śladem długiej strużki śliny. Tess gulgotała i kopała. Znalazła własny sposób na przedarcie się przez tłum.

Nie miałem jej czym wytrzeć, więc postanowiłem się zatrzymać w kafejce na rogu i poprosić o serwetki. Albo wyczyścić nas strumieniem pary z ekspresu do kawy. Zbliżając się do stolików rozstawionych na chodniku, rozpoznałem jeden z głosów. Należał do Milo, starszawego Włocha, który, o ile mi wiadomo, prawie nie opuszcza tej knajpki.

- O Boże! - krzyknął Milo na nasz widok. - Masz dziecko!

Zazdrościłem mu tego głosu. Brzmiał tak, jakby wydostawał się nie z krtani, ale z megafonu. Usłyszałem szuranie krzesła odsuwanego po betonie. Milo wstał, podszedł do nas i uszczypnął lekko puzaty policzek Tess. Ten facet zobaczył coś więcej niż moja ślepotą i niebezpieczeństwa grożące małej. Po prostu zachwyił się dzieckiem i jego rozkosznymi cechami. Do diabła ze śliną. Było to odświeżające doznanie.

- Ooo, jaka śliczna! Lina, chodź tutaj! Lina, chodź i zobacz dziecko!
- Jakie dziecko?! Czyje dziecko?! - wrzasnęła ze środka Lina, właścicielka kafejki.
- A co za różnica? Po prostu dziecko! - krzyknął w odpowiedzi Milo i z powrotem zajął się policzkami Tess.

Lina dorwała się do małej i rozpląnęła z zachwytem. Całowała stópki Tess i szczypała ją w policzki. Ja starałem się zachować równowagę. Moi znajomi z kafejki byli jak nawałnica.

- Mówię ci - powiedział Milo, nabierając powietrza - że to jest sakramencko śliczne dziecko. Bella! Lina, ty i ja moglibyśmy mieć takie dziecko.

- Nie wyobrażaj sobie! Jestem mężatką!

Lina zawsze krzyczała.

– A nawet gdybyśmy się pobrali – ciągnęła – i nawet gdybym ci pozwoliła mieć ze mną dziecko, a na pewno bym nie pozwoliła, to ono by tak nie wyglądało! Takie śliczne dziecko nie mogłoby być twoje! Moje – tak, twoje – nie!

– Mana?

– Słyszysz? Mówi do mnie! Lubi mnie – stwierdził Milo. Połaskotał jeszcze małą, wybierając pewnie suche miejsca. – I patrz, ma okulary przeciwsłoneczne i...

Megafon umilkł. Napędzona przez espresso radość wyparowała.

– Okulary. O Boże, nie – powiedział cicho i poważnie. – Ona nie widzi! Mój Boże. Ona nie widzi, tak jak ty.

Trzeba było kilku minut, żeby go przekonać, że wszystko jest w porządku. Nie mógł uwierzyć, że dzieci noszą okulary przeciwsłoneczne dla mody i urody oraz ochrony i zdrowia, a nie po to, by nastraszyć przyjaciół.

Lina wytarła Tess, a przed wyjściem wypchała mi kieszenie chusteczkami. Miałem dość wrażeń, więc uznałem, że najwyższy czas wracać do domu. Po co kusić los?

Kiedy skręciliśmy w Graveley Street, przeszliśmy koło pubu i sklepu monopolowego, niecałe trzydzieści metrów od domu z podziemnego parkingu wyjechał nagle absurdalnie wielki SUV. Masa jego wypasionego wyposażenia i freudowskiej nerwicy przemknęła tuż przed naszymi nosami. I potrafiła nas.

Pojazd zbliżył się na tyle, żeby wyrwać mi laskę z dłoni i posłać ją na ulicę. Może faktycznie nie nadawałem się do spacerów z dzieckiem. Może nie nadawałem się do chodzenia.

Serce mi zamarło. Tess straciła panowanie nad sobą i kto wie co jeszcze. Nie wiedziałem, czy samochód ją zahaczył. Wszystko stało się tak szybko. Mała wciągnęła powietrze, przygotowując się do ataku płaczu i na zawsze tracąc zaufanie do swojego ojca w roli opiekuna. Płacz jednak nie nastąpił. Cisza się przedłużała, więc wiedziałem już, że Tess otworzyła szeroko usta i wybuchła najgorszym, niemy płaczem, takim, który na początku nie pozwala nawet wydobyć głosu. Przygotowałem się na ryk głośniejszy od SUV-a. I się doczekałem.

Tess zadrzała gwałtownie, wierzgnęła i zaniósła się śmiechem.

Jej radosny chichot wystarczył, żeby pobudzić moje serce. Nigdy wcześniej nie słyszałem takiego śmiechu. Tymczasem kierowca zatrzymał samochód. Przyniósł mi laskę. Była trochę bardziej wygięta niż zwykle. Gdybym był o krok bliżej domu, mój kręgosłup wyglądałby podobnie.

– No przepraszam, niestety – rzekł kierowca, wręczając mi mój nowy bumerang. – Nie zauważyłem pana.

Nim zdążyłem odpowiedzieć albo przypomnieć sobie, jak się wrzeszczy, facet wskoczył z powrotem do swojego czołgu i uruchomił ryczący silnik. Nie mogłem się nie zastanowić, czemu jego pojazd nie był różowy, jak wszystko, czego nie wolno mi dotykać. Przez uchylone okno rzucił mi słowa pożegnania.

– Ładny dzieciak – powiedział i pomknął przed siebie wraz z kilkoma latami mojego życia.

Tess nadal się śmiała, nieświadoma śmiertelnego zagrożenia sprzed chwili. A może doceniła już poczucie humoru swojego niewidzialnego niewidomego ojca. Tyle wysiłków i okazuje się, że to, co mnie przeraża, jej może dać radość. Powstała między nami nowa więź. Byliśmy wyjątkowymi śmiałkami. Mogliśmy odbyć razem wiele spacerów. Tata oznaczał superfrajdę.

– Chodź, bączku. – Powoli ruszyłem z miejsca. – Chodźmy do Many, zanim ktoś znowu nas nie zauważy.

– Oub – powiedziała Tess, wierzgając przy tym nóżkami.

Myszę, że mówiła szczerze.